

Bartłomiej Kozłowski

Czy cenzura prewencyjna jest najgorszym rodzajem ograniczenia wolności słowa?

Artykuł opublikowany pierwotnie (pod innym tytułem) w ramach działu [Kartka z kalendarza](#) na portalu [Polska.pl](#).

Powszechnie uważa się, że historia cenzury prewencyjnej w Polsce skończyła się w maju 1990 r., kiedy to rozwiązano [Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk](#) oraz jego terenowe delegatury. Dziś – przeszło 18 lat od tego momentu – nader trudno wyobrazić sobie, by mógł w naszym kraju istnieć i działać organ, którego funkcjonariusze mieliby za zadanie czytanie i sprawdzenie artykułów prasowych, felietonów i książek przed ich publikacją – tak, aby ich potencjalni odbiorcy nie natknęli się na jakieś niepożądane i szkodliwe zdaniem władz treści.

Zakaz prewencyjnej cenzury środków masowego przekazu został nawet wpisany do obowiązującej [konstytucji](#) (zob. jej art. 54 ust. 2). Jednak – z drugiej strony – twierdzenie o tym, że cenzura wypowiedzi przed ich opublikowaniem kompletnie przestała być w Polsce stosowana, jest w najlepszym przypadku co najmniej nie do końca zgodne z prawdą. Przykładem tego mogą być liczne orzeczenia sądowe, zakazujące publikacji artykułów prasowych tytułem tzw. zabezpieczenia powództwa w procesie cywilnym o ochronę dóbr osobistych. Niektóre z sądów orzekających w takich sprawach posuwały się tak daleko, że nie tylko zabraniały publikowania istniejących już (lecz jeszcze nie rozpowszechnionych) artykułów prasowych czy filmów, ale zakazywały zbierania materiałów i pisania na temat jakiejś osoby (np. znanej aktorki czy piosenkarki) w ogóle. Wśród polityków zaś krążyły niekiedy pomysły, by wprowadzić jeśli nie cenzurę dokładnie tego typu, co przed 1990 rokiem, to coś nie tak bardzo się od niej różniącego.

„Patriotyczna” „moralna” „dla dobra nieletnich”

Do przywrócenia „patriotycznej i moralnej” cenzury – mającej przede wszystkim zapobiegać rozpowszechnianiu pornografii – nawoływał w sejmie I kadencji poseł ZChN Alojzy Szablewski. Najbardziej jednak skonkretyzowany pomysł stworzenia instytucji, której zadaniem byłoby w istocie rzeczy stosowanie cenzury, przedstawili reprezentanci znajdującej się na przeciwnym biegunie polskiej sceny politycznej lewicowej [Unii Pracy](#).

Chodzi tu oczywiście o przedstawiony w sejmie II kadencji (1993 – 1997) projekt ustawy o rozpowszechnianiu publikacji szkodliwych dla młodzieży. Według tego projektu przy pełnomocniku rządu do spraw rodziny i kobiet miała zostać powołana 12-osobowa komisja, mająca za zadanie prowadzenie listy publikacji „stanowiących zagrożenie” dla osób poniżej 18 roku życia. Umieszczonych na liście (na wniosek co najmniej 15-osobowej grupy parlamentarzystów, Kościołów, związków wyznaniowych, stowarzyszeń, partii politycznych lub związków zawodowych) publikacji „pornograficznych, zachęcających do prostytucji, brutalizujących i podlegających do przemocy, przestępstwa, rasizmu bądź zawierających pochwałę wojny” nie wolno byłoby reklamować, umieszczać w czytelnich i wypożyczalniach, ani sprzedawać w normalnym – dostępnym dla wszystkich - obiegu. Karą za złamanie takiego zakazu miała być grzywna, ograniczenie wolności, albo więzienie do jednego roku.

Nie całkiem zakazane, ale czy nie wyeliminowane w praktyce?

Wpisane na wspomnianą listę publikacje „pornograficzne, zachęcające do prostytucji, brutalizujące... etc.”) nie byłyby według projektu UP całkowicie wyjęte spod prawa. Ich rozpowszechnianie i sprzedaż byłyby dozwolone – pod warunkiem skutecznego odcięcia dzieci i młodzieży od kontaktu z takimi publikacjami.

Nietrudno jednak dojść do wniosku, że gdyby pomysł Unii Pracy przybrał kształt prawa i został odpowiednio energicznie wcielony w życie, to jego rezultatem mogłoby być stworzenie cenzury i to na olbrzymią skalę. Ostatecznie rzecz biorąc, ilu księgarzy – nie mówiąc o kioskarzach – byłoby w stanie stworzyć wydzielone, dostępne tylko dla dorosłych części swoich lokali i pilnować, by przypadkiem nie przedarł się do nich ktoś nieletni? Niemożność (lub ekonomiczna nieopłacalność) podjęcia takich kroków przez znakomitą większość sprzedawców gazet, czasopism i książek prowadziłyby do tego, że produkcja publikacji, co do których mogłaby istnieć obawa, że zostaną wpisane na wspomnianą listę – zostałaby drastycznie ograniczona – kto wydawałby książki i czasopisma, które w najlepszym wypadku bardzo trudno byłoby sprzedać? Niebezpieczeństwo stworzenia wszechobecnej cenzury byłoby spotęgowane tym, że niektóre kryteria, którymi rada do spraw publikacji stanowiących zagrożenie dla dzieci i młodzieży miałaby się kierować przy podejmowaniu decyzji o umieszczeniu (lub nieumieszczeniu) takich czy innych publikacji na prowadzonej przez siebie liście, były sformułowane w sposób nie tylko potencjalnie nader pojemny, ale również skrajnie nieprecyzyjny – np. do kategorii publikacji „brutalizujących” można by zaliczyć wielką część światowej literatury – z jej największymi arcydziełami (Iliadą i Odyseją, Boską Komedią Dantego, dramatami Szekspira, a nawet Biblią) włącznie.

Cenzura administracyjna

Przygotowany przez Unię Pracy projekt ustawy o rozpowszechnianiu publikacji stanowiących zagrożenie dla dzieci i młodzieży nie przewidywał wprowadzenia cenzury dokładnie tego typu, co w PRL – gdzie funkcjonariusze specjalnego organu państwowego badali treść artykułów prasowych i książek jeszcze przed ich wydrukowaniem i rozpowszechnieniem. Przewidywał on jednak bez wątpienia cenzurę typu administracyjnego – ciałem decydującym o ograniczeniu dostępności publikacji byłby organ wchodzący w skład rządu – nie niezawisły, podległy tylko konstytucji i ustawom i złożony z apolitycznych (przynajmniej w teorii) osób sąd. To prawda, że decyzje wspomnianej rady nie byłyby ostateczne – można byłoby zaskarżać je do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Twierdzenie jednak, że ustawa o publikacjach stanowiących zagrożenie dla dzieci i młodzieży nie wprowadzałaby cenzury z tego powodu, że decyzja o wpisaniu publikacji na „czarną listę” mogłaby zostać uchylona przez sąd, byłoby twierdzeniem tego samego rodzaju, że w PRL od 1981 r. nie było cenzury, ponieważ decyzje Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk mogły od tego momentu być zaskarżane do NSA i uchylane – i faktycznie czasem były, ale zdarzało to się chyba bardzo rzadko.

Ciekawe – polecam!

O zaproponowanym przez Unię Pracy projekcie ustawy o publikacjach stanowiących zagrożenie dla dzieci i młodzieży znakomicie pisał przed laty [Jacek Sierpiński](#) w swym opublikowanym na łamach „[Gazety An Arche](#)” i Anarchistycznego Magazynu Autorów „[Mać Pariadka](#)” artykule „[Nieśmiały powrót cenzury](#)”. Z przedstawioną przez niego krytyką tego projektu zgadzam się w całej rozciągłości... i zainteresowanych nią czytelników zachęcam do jego lektury [1].

Czy cenzura prewencyjna jest najgorszym rodzajem ograniczenia wolności słowa?

Przy okazji wzmianki o nieuchwalonym (na szczęście) projekcie ustawy o publikacjach szkodliwych dla nieletnich warto jednak choć przez chwilę zastanowić się nad nieczęsto chyba dziś w Polsce poruszonym problemem: czy cenzurowanie publikacji przed ich rozpowszechnieniem – albo decydowanie na drodze administracyjnej o tym, które publikacje mogą być rozpowszechniane, a które nie (jak miało to miejsce w przypadku wspomnianego tu projektu) – jest bezwzględnie gorszym, bardziej nie dającym się tolerować rodzajem ograniczenia swobody ekspresji, niż karanie za wypowiedzi na drodze zwykłego procesu sądowego *post factum*? W literaturze na temat wolności słowa i dotyczącym tego zagadnienia orzecznictwie sądowym często można spotkać pogląd, że tak zwane wstępne zakazy wypowiedzi – w amerykańskiej doktrynie prawnej określane mianem „[prior restraints](#)” – są najbardziej drastycznym, niemożliwym do zaakceptowania w demokratycznym, szanującym ludzkie prawa i swobody państwie ograniczeniem wolności słowa i środków społecznego przekazu. Sąd Najwyższy USA kilkakrotnie stwierdził, że wszelkie tego typu zakazy obarczone są silnym domniemaniem niekonstytucyjności – i nigdy takiego zakazu nie zatwierdził – choć nie posunął się (a w każdym razie, większość sędziów nie posunęła się) do twierdzenia, że zakaz taki byłby niedopuszczalny w jakiejkolwiek sytuacji [2].

Ale czy cenzurowanie artykułów prasowych, książek itp. przed ich publikacją – jakkolwiek złą rzeczą by nie było – zawsze musi być czymś gorszym od karania za takie czy inne treści już po ich rozpowszechnieniu? Wyobraźmy sobie dwa kraje: w jednym istnieje instytucja oficjalnie nazywająca się jakoś tam, ale popularnie określana po prostu mianem cenzury. Wszystko, co ukazuje się w środkach masowego przekazu musi być najpierw sprawdzone i ocenione przez funkcjonariusza tej instytucji, który w sposób w istocie rzeczy arbitralny może zadecydować o tym, że dany artykuł (albo cała gazeta), książka, czy film nie może się ukazać. Opublikowanie czegokolwiek bez wstępnej zgody cenzury jest przestępstwem – kara za taki czyn nie jest jednak bardzo wysoka – powiedzmy, że jest to tylko grzywna. W drugim kraju nie ma żadnego organu, któryby zajmował się sprawdzaniem treści artykułów prasowych, książek, filmów i gier video przed ich rozpowszechnieniem... ale w kodeksie karnym tego kraju są przepisy o podważaniu autorytetu władzy, obrażaniu uczuć religijnych i moralności publicznej, podsycaniu wrogości między grupami społecznymi itd. Jak łatwo zauważyć, paskudna, wstępna cenzura w stylu PRL istnieje tylko w pierwszym z tych krajów. W drugim cenzury nie ma. Jednak, jako człowiek piszący to i owo wolałabym chyba żyć w pierwszym z tych krajów – gdybym chciał napisać coś, co (jakby się okazało później) wykracza przeciwko prawu albo nawet po prostu nie podoba się władzy, to jedyne związane z tym ryzyko byłoby takie, że dany tekst po prostu by się nie ukazał. W drugim z tych krajów taki „wybryk” mogłoby się skończyć znacznie gorzej.

Projekt inny – ale nie mniej groźny

Aby uświadomić sobie, że możliwość karania za wypowiedzi *post factum* niekoniecznie jest czymś mniej złym od tzw. cenzury wstępnej nie musimy wymyślać jakichś kompletnych abstrakcji (zawsze przecież można wyobrazić sobie przepis jeszcze szerszy i bardziej nieprecyzyjny, niż jakiś istniejący lub choćby zaproponowany). Pod koniec 2001 r. do Sejmu wpłynął – jako tzw. inicjatywa społeczna – [projekt Ustawy o Zakazie Promowania Przemocy w Środkach Masowego Przekazu](#). Według tego projektu zakazane miałyby zostać, wytwarzanie i rozpowszechnianie skierowanych do osób w wieku poniżej 18 lat filmów, gier video, książek, czasopism i wszelkiego innego rodzaju produktów, w których zawarte byłyby „przemoc” „wulgarne przedstawianie” lub „obsceniczność”. Pod pojęciem „przemocy” rozumiane było „opisywanie lub pokazywanie brutalnych, odrażających, przerażających bądź okrutnych scen, mogących zagrozić psychicznemu lub fizycznemu rozwojowi dzieci lub młodzieży”, „wulgarne przedstawianie” określone było w projekcie jako „sceny, słowa,

zwroty lub gesty powszechnie uznawane za niecenzuralne, obraźliwe lub takie, które pokazują w sposób złośliwy lub pogardliwy człowieka, ludzi, a także symbole religijne i poprzez to mogą wpływać w sposób szkodliwy na postawę moralną, rozumienie zjawisk społecznych u dzieci lub młodzieży” zaś obsceniczność zdefiniowana została jako „sceny, słowa, zwroty lub gesty pokazujące lub opisujące seksualność człowieka bądź ludzi w sposób mogący zagrażać psychicznemu lub fizycznemu rozwojowi dzieci lub młodzieży”.

Naruszenie przewidzianych przez projekt zakazów miało być zagrożone karą grzywny, ograniczenia wolności, albo pozbawienia wolności do roku (a więc taką samą, jaką przewidywał wspomniany wcześniej projekt Unii Pracy). Egzekwowanie tych zakazów miałoby się odbywać na drodze normalnego procesu karnego – projekt ustawy nie przewidywał utworzenia specjalnej instytucji – takiej, jak proponowana przez Unię Pracy komisja ds. publikacji zagrażających dzieciom i młodzieży – która w drodze administracyjnej decydowałaby o tym, które filmy, książki i gry video zawierają „przemoc” „wulgarne przedstawianie” lub „obsceniczność” i których filmów, książek i innych „produktów” nie wolno w związku z tym rozpowszechniać w sposób dostępny dla nieletnich. Projekt ten nie przewidywał więc niczego, co można by było uznać za wprowadzenie cenzury w stylu PRL... ale czy faktyczna cenzura, jaka zostałaby wprowadzona pod jego rządami (gdyby stał się on prawem) nie byłaby przypadkiem czymś jeszcze gorszym od cenzury, jaka mogłaby zaistnieć w wypadku wejścia w życie projektu przyszykowanego pięć lat wcześniej przez Unię Pracy? Nieprecyzyjność zawartych w projekcie „Ustawy o zakazie promowania przemocy w środkach masowego przekazu” terminów była wprost niesłychana. Rozważaniom nad tym, co pod rządami tej ustawy mogłoby zostać uznane za przestępstwo można by poświęcić całkiem spory artykuł (swego czasu napisałem taki [3], z braku jednak miejsca na takie rozważania ograniczę je do zadania kilku pytań. Czy za sceny „brutalne” lub „okrutne” należałoby uznać dopiero jakieś ekstremalne akty przemocy – np. ćwiartowanie kogoś żywcem – czy też pod pojęcia takie dałaby się podciągnąć scena zwykłej bójki czy nawet szarpaniny? Czy koniecznym warunkiem uznania jakichś scen za „przerażające” musiałyby być występujący w nich element fizycznej agresji (skoro pojęcie to było częścią szerszej definicji pojęcia „przemocy”) – czy też można by było pod nie podciągnąć takie sceny, które wywołują odbiorców silne napięcie psychiczne, ale nie przedstawiają użycia siły? „Scena” musiałaby być „przerażającą” dla kogo? Dla kogoś, kto faktycznie znalazłby się na miejscu pokazanego zdarzenia (a nie po prostu zobaczył je na ekranie telewizora)? Dla osoby, która złożyła zawiadomienie o przestępstwie? Dla prokuratora albo członków sądu? Dla „przeciętnego, rozsądnego człowieka”? Dla jakiejś szczególnie wrażliwej osoby, którą może przerażać niemal wszystko?

Jak coś na kogoś może wpłynąć?

Traktowanie cenzury „represyjnej” i „prewencyjnej” jako dwóch różnych jakościowo rodzajów ograniczenia swobody ekspresji byłoby wyraźnie uzasadnione wówczas, gdyby prawo przewidywało kary (lub odpowiedzialność cywilną) nie tyle za same wypowiedzi (lub inne akty ekspresji) ile raczej za skutki tych wypowiedzi. Mowa tu oczywiście o skutkach bezpośrednich i zamierzonych przez autora wypowiedzi (a w każdym razie spowodowanych przez niego w sposób świadomy), a nie przypadkowych, odległych i pośrednich. Jest wiele przykładów świadczących o tym, że wpływ nawet najbardziej – zdawałoby się – niewinnych aktów ekspresji może przyczynić się do popełnienia najbardziej makabrycznych zbrodni przez psychopatów i inne antyspołeczne jednostki. Niejaki John [Georg Haigh](#) – skazany na karę śmierci i powieszony w 1949 r. angielski wampir - po raz pierwszy zaczął marzyć o mordowaniu ludzi i piciu ich krwi w następstwie snów, które wywołało u niego patrzenie się na figurę ukrzyżowanego Chrystusa w katedrze anglikańskiej w Wakefield. Niemiecki

seryjny morderca kobiet [Heinrich Pommerenke](#) poczuł się zainspirowany do popełnienia zbrodni pod wpływem amerykańskiego filmu „Dziesięcioro przykazań” – oglądając scenę, w której Żydówki tańczą wokół Złotego Cielca pojął nagle, że kobiety są przyczyną wszelkiego zła na świecie, a jego misją jest ich karanie i dokonywanie na nich egzekucji. Niejaki John List z Nowego Jorku zamordował swą żonę, matkę i trójkę dzieci w wyniku przekonania, że (świadczył o tym list umieszczony obok ich zwłok) odchodzą oni od chrześcijaństwa i tylko śmierć przed kompletną utratą wiary może ocalić ich dusze przed trafieniem na wieczność do piekła. Czynnikiem, który w jakiejś mierze przyczynił się do tej ostatniej zbrodni było niewątpliwie kościelne nauczanie o tym, że życie bezbożne może skończyć się dla człowieka wiecznym potępieniem [4].

Do agresywnych i bezprawnych zachowań w jakiś pośredni sposób może przyczyniać się też propagowanie i szerzenie wielu przekonań o charakterze politycznym – aktów wandalizmu i przemocy dopuszczali się oponenci globalizacji, obrońcy środowiska naturalnego i praw zwierząt, przeciwnicy aborcji, aktywiści ruchów antynazistowskich, a nawet pacyfiści. Zgodzimy się chyba jednak z tym, że dążenie do zapobiegania wszystkim tym przestępstwom poprzez karanie za propagowanie idei, bez wpływu których przestępstwa takie często wręcz trudno byłoby sobie wyobrazić (czy np. rozruchy towarzyszące zjazdowi Banku Światowego, Międzynarodowego Funduszu Walutowego, lub tzw. Grupy G8 zdarzałyby się wówczas, gdyby nikt nie wypowiadał twierdzeń, że działalność tych instytucji jest przyczyną bezrobocia, głodu, niszczenia środowiska, recesji gospodarczej i jeszcze innych nieszczęść naszego świata?), byłoby równie absurdalne, jak próba zapobieżenia im poprzez cenzurowanie takich idei, zanim jeszcze zostaną one opublikowane i dotrą do odbiorcy.

Cenzura represyjna może być gorsza

Z wypowiedzianiem twierdzenia, że cenzura prewencyjna jest czymś *per se* gorszym od groźby pociągnięcia do odpowiedzialności karnej czy cywilnej po wypowiedzi należy więc być bardzo ostrożnym. W istocie rzeczy, cenzura „represyjna” może prowadzić do większych ograniczeń wolności słowa i generalnie rzecz biorąc łamania praw człowieka (w postaci np. osób uwięzionych za głoszenie swoich przekonań), niż cenzura popularnie określana mianem prewencyjnej. Wracając jeszcze na moment do wspomnianych w tym artykule projektów ustaw mających powstrzymać rozpowszechnianie treści nienadających się – zdaniem autorów tych projektów – dla dzieci i młodzieży: pod rządami proponowanej niegdyś przez Unię Pracy ustawy o publikacjach zagrażających dzieciom i młodzieży zakazane (czy poważenie utrudnione) mogłoby zostać rozpowszechnienie mnóstwa czasopism, filmów i książek. Ale właściciel kiosku, księgarni czy firmy kolporterskiej wiedziałby przynajmniej, jakie tytuły narażają go na ryzyko. Pod rządami niedoszłej „Ustawy o zakazie promowania przemocy w środkach masowego przekazu” mógłby się tylko nad tym głowić – przy czym warto zauważyć, że terminy użyte w projekcie tej ustawy były chyba jeszcze bardziej mętne, niż w projekcie przedstawionym przez Unię Pracy. Na szczęście jednak – oba projekty, to dość dawna i - miejmy nadzieję - bezpowrotnie miniona przeszłość. Co nie znaczy, że nie warto było o nich przypomnieć – wszak *historia magistra vitae est...*

Przypisy:

[1] A propos [Unii Pracy](#) polecam również artykuł Jacka Sierpińskiego „[Czy Unia Pracy do lewica?](#)”. Stary tekst (z 1997 r.) ale celny... zwłaszcza jego konkluzja.

[2] Zob. orzeczenie Sądu Najwyższego USA w sprawie [New York Times v. United States](#)

(tzw. Sprawie Papierów Pentagonu). Skróconą wersję tego orzeczenia można znaleźć pod linkiem umieszczonym w tekście.

[3] Zob. mój artykuł [Nowy Totalitaryzm? O projekcie „Ustawy o Zakazie Promowania Przemocy w Środkach Masowego Przekazu” krytycznie.](#)

[4] Informacja za: [Marcia Pally Sex & Sensibility - Reflections on Forbidden Mirrors and the Will to Censor](#)

P.S. Przy okazji przerabiania tego tekstu na format PDF przyszła mi do głowy jedna myśl, którą uznałem za wartą odnotowania. Otóż, cenzura prewencyjna rzeczywiście byłaby bezwzględnie gorszym rodzajem ograniczenia wolności wypowiedzi od cenzury „represyjnej” gdyby organ państwa stosujący taką cenzurę mógł w sposób *fizyczny* uniemożliwić rozpowszechnienie treści, która zdaniem nie powinna zostać rozpowszechniona. Coś takiego byłoby pewnie możliwe w jakimś państwie skrajnie totalitarnym, w którym wszelkie środki społecznego przekazu, a nawet sam obieg papieru, znajdują się pod ścisłą kontrolą. Z istniejących na świecie państw możliwość stosowania tego rodzaju cenzury publikacji ma – być może – Korea Północna. Jeśli jednak cenzura prewencyjna miałaby się sprowadzać do możliwości *karania* za sam fakt upublicznienia jakieś treści wbrew woli, czy bez zgody stosowanego organu – to nie uważam, by cenzura taka w jakiś konieczny (podkreślam bardzo mocno to słowo!) sposób musiała być czymś gorszym od cenzury represyjnej, której istotą jest możliwość karania na drodze sądowej za treść wypowiedzi lub publikacji – nie za sam fakt opublikowania czegoś bez zgody odpowiedniego ciała. Szeroko ujęte i nieprecyzyjne przepisy, przewidujące kary za publikowanie pewnych treści mogą być – jak sądzę - czymś bardziej niebezpiecznym z punktu widzenia swobody wypowiedzi i jakiegokolwiek swobody w ogóle (kary nakładane przez sądy mogą prowadzić do fizycznego pozbawienia wolności), niż przepisy przewidujące wstępną kontrolę publikacji – zwłaszcza, jeśli te ostatnie sformułowane byłyby w sposób klarowny, a kary za ich ominięcie nie byłyby szczególnie surowe. Co nie znaczy oczywiście, iż uważam, że istniejący obecnie w Polsce model ograniczania wolności ekspresji przez państwo – polegający generalnie rzecz biorąc na możliwości karania za upublicznianie pewnych treści – powinien zostać zastąpiony modelem, w którym przestępstwem czy wykroczeniem byłoby rozpowszechnienie czegoś bez zgody jakiegoś urzędowego organu.

[Strona główna](#)